

# DEMONY CZASU POKŁĘJU



fabryka słów®  
WYDAWNICTWO



**ADAM PRZECHRZTA**



**DEMONY  
CZASU POKOJU**

fabryka słów®

Lublin 2015



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

**U**niosłem szklankę, zadźwięczało trącone szkło: świętowaliśmy zakończenie nauki. Ja, Ania Osipowa, Oleg Tkaczow i Marina Kowalenko. Nasza czwórka ukończyła z wyróżnieniem szkolenie dla frontowców chcących pracować w organach ochrony prawnej. Tak jak większość kursantów, dziewczyny i Oleg wybrali prokuraturę, tylko ja zgłosiłem się do pracy w milicji.

– Twoje zdrowie, Saszka! – wzniosła kolejny toast Marina.

– Zdrowie Saszki! – krzyknęli unisono Oleg i Ania. Podziękowałem lekkim uśmiechem, polałem wódki. Poszło prawie pół litra, jeszcze trochę i trzeba będzie otworzyć kolejną butelkę. No i nic dziwnego: nikt z nas nie był alkoholikiem, ale wszyscy potrafili pić. Na wojnie wódka to często jedyne źródło ciepła, lekarstwo i pocieszenie...

Ania, sympatyczna szatynka o figlarnych piwnych oczach, przytuliła się do Olega, pocałowała go w ucho.

Ten trącił ją przyjaźnie ramieniem, ale nie rwał się z pieszczotami. Nie żeby mu się nie podobała – zgrabna niczym sarna dziewczyna przyciągała męskie spojrzenia – ale wolał się nie spieszyć. Wszyscy na kursie wiedzieli, że Ania przeszła specjalne szkolenie i w czasie wojny wykonywała wyroki na zdrajcach i winnych zbrodni wojennych oficerach wroga. Własnoręcznie zabiła nożem dwóch gestapowców. Takiej lepiej nie chwycić od razu za kolanko.

Tymczasem Marina, w której mieszkaniu się bawiliśmy, wstała od stołu i nastawiła gramofon, po czym dygnęła przede mną jak pensjonarka.

– Wasza wysokość będzie łaskaw? – spytała z lekką kpinią w głosie.

– Moja wysokość będzie – odparłem lakonicznie.

Po chwili zawirowaliśmy w tańcu, Ania i Oleg bili brawo. Czułem ciepło przytulonej do mnie dziewczyny, zapach perfum i świeżo umytych włosów. Marina była nie mniej atrakcyjna niż Ania: przepastne, ciemne oczy, brzoskwińowa, nieskazitelna cera, śliczna buzia i długie, smukłe nogi wraz z ognistym temperamentem składały się na więcej niż interesującą całość. No i dziewczyna nie potrafiła posługiwać się nożem – w czasie wojny służyła jako pilot w pułku nocnych bombowców, co czyniło ją znacznie bardziej dostępną od przyjaciółki. Tyle że jej bliskość nie wywoływała we mnie żadnej ekscytacji: od czasu rozprawy z von Ziethenem kobiety dostarczały mi jedynie wrażeń estetycznych. Prognozowana jeszcze w niemieckim szpitalu w Breslau poprawa zdrowia nie nadchodziła.

– Zmiana! – zarządziła Ania. – Teraz my zatańczymy.

Marina wzięła mnie za rękę, poprowadziła z powrotem za stół. Rozgrzana tańcem i alkoholem, oparła się o mnie lekko, dając poczuć przez moment kuszącą krągłość piersi. Westchnąłem – rzecz była do przewidzenia, dziesiątki mniej i bardziej wyraźnych sygnałów świadczyły, że podporucznik Razumowski zdecydowanie się jej podoba. Problem w tym, że w żaden sposób nie mogłem odpowiedzieć na jej awanse. A gdyby mój stan... zdrowia przestał być tajemnicą, musiałbym zmienić pracę, a może i miejsce zamieszkania: milicja rządowa była przez stuprocentowych samców. W takim wypadku nie pomogłoby mi nawet wstawiennictwo mojego przyjaciela, pułkownika Poliakowa. Taaak, wyglądało na to, że mam problem. Kobięca dłoń na udzie uzmysłowiła mi, że to poważny problem.

Odsunąłem się nieznacznie, przeniósłem wzrok na tańczącą parę, dając sygnał: „nie teraz”. Usłuchała.

Poczekałem, aż melodia ucichnie, otworzyłem drugą butelkę Moskowskiej, napełniłem naczynia po brzegi.

– Za tych, co nie wrócili z wojny – powiedziałem, stojąc.

Cóż, nie miałem wyjścia: wiedziałem, że to jedyny toast, od którego nikt się nie uchyli i wszyscy wypiją do dna. Wódka spłynęła w gardło ostrą, palącą strugą, niespodziewanie stanęły mi przed oczyma twarze Saszki Riumina, Pietki Drozda, Witki Potapowa, Wiery Turkuł... Ocknąłem się, czując dotyk dłoni Mariny, która podawała mi chusteczkę.

– Proszę – powiedziała miękko.

– Przepraszam – wydukałem. – Nie chciałem...

– Nie przepraszaaj, nie trzeba – weszła mi w słowo. – Tu, między nami, nie musisz się tłumaczyć. My rozumiemy.

Ania skinęła poważnie głową, Oleg potwierdził nieartykułowanym pomrukiem.

– Nie zdążyłeś ich opłakać, prawda?

Odwróciłem wzrok.

– Może opowiesz nam o nich? – zasugerowała.

Zagryzłem wargi, wiedziałem, że to oferta przyjaźni. O takich sprawach rozmawiano tylko z bliskimi. Byłem pewien, że jeśli odmówię, nikt się nie obrazi, nie będzie żadnych nacisków, ale nie otrzymam też kolejnej podobnej propozycji. Musiałem zdecydować tu i teraz.

Usiadłem z westchnieniem, podsunąłem Olegowi szklankę.

– Wiera Turkuł – powiedziałem, przymknąwszy oczy. – Poznałem ją w czterdziestym drugim w Leningradzie...



– Podporucznik Razumowski! – wywołał mnie kościsty kapitan o smagłej, surowej w wyrazie twarzy.

No tak, moja kolej... Od godziny wraz z innymi świeżo przyjętymi do pracy oficerami czekałem w korytarzu przed gabinetem Poliakowa. Widać ten postanowił udawać, że się nie znamy, albo przynajmniej nie okazywać mi specjalnych względów. Mądra decyzja, lepiej, żeby nikt nie wziął mnie za pupilka dowódcy – takich otaczała powszechna pogarda. Być może, kiedyś przyjdą czasy, kiedy moskiewską milicją będą rządzić

karierowicze i lizusy, ale to jeszcze nie teraz, zdecydowanie nie...

Wszedłem do gabinetu, stanąłem na baczność i zameldowałem się regulaminowo. Poliakov bez słowa zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku.

– Nie tak mocno, matołku – stęknąłem. – Połamiesz mi żebra.

– Siadaj – zaprosił, odsuwając mnie na długość ramienia. – Mamy dziesięć minut, lepiej nie przekraczać czasu, jaki wyznaczyłem na indywidualne rozmowy. Czegoś ci potrzeba? Mieszkania, a może pieniędzy? I co to w ogóle za pomysł, żeby służyć w milicji? Nie żebym się martwił, pomożesz mi uporządkować ten burdel.

Uśmiechnąłem się pod nosem, wiedziałem, co ma na myśli Poliakov: upadek Trzeciej Rzeszy zakończył wojnę, ale przyniósł też wiele problemów. Do kraju powróciła armia, która zobaczyła, jak wygląda życie poza granicami Związku Radzieckiego. Wrócili nie tylko zwykli, rozbestwieni frontową swobodą i oszołomieni bogactwem zamieszkanymi przez burżujów państw żołnierze, ale i ci, których rozkaz Stalina wyciągnął z więzień i łagrów, którzy mieli własną krew odkupić swoje winy. I odkupili. A teraz mieli zamiar powetować sobie czas spędzony w okopach i za kratami. Byli wśród nich więźniowie polityczni, ofiary donosów, walk frakcyjnych i nadgorliwości NKWD, ale i zwykli bandyci. Ci ostatni nie bali się niczego ani nikogo, bo przeszli już piekło na ziemi, mieli broń i wiedzieli, jak jej używać: wojnę przeżyli tylko najlepsi, najtwardsi, najsprytniejsi. Po kraju rozlała się niespotykana wcześniej fala zbrodni. Nie poprawiła też sytuacji ogłoszona w związku ze zwycięstwem nad

Niemcami amnestia, na mocy której wypuszczono z więzienia drobnych przestępców i darowano winy żołnierzom oskarżonym o niesubordynację, samowolne oddalenie się z miejsca służby i cały szereg innych, mniej czy bardziej poważnych naruszeń regulaminu. Milicja nie dawała sobie rady z doświadczonymi, kutymi na cztery nogi, zaprawionymi w walkach frontowcami. Niemal codziennie prasa donosiła o zabójstwach milicjantów, którzy weszli w drogę lepiej uzbrojonym, wyszkolonym i zorganizowanym bandytom. Taaak, Poliakov miał się czym martwić...

– Nie, dziękuję – odpowiedziałem. – Mam pieniądze i mieszkanie. Teoretycznie nadal jestem pułkownikiem GRU, a do milicji zostałem jedynie czasowo oddelegowany – wyjaśniłem, widząc pytające spojrzenie przyjaciela.

– Oddelegowany? – wymamrotał ze zdziwieniem w głosie Poliakov. – Nie słyszałem o takim przypadku.

– Zawarłem ze Stalinem coś w rodzaju umowy – mruknąłem niechętnie. – Długo by opowiadać...

– Zatem niczego ci nie potrzeba?

– Niezupełnie...

– Tak?

– Nie mam zamiaru stawać na baczność przed byle poruczniczyną, więc muszę szybko awansować. Rozumiesz, nie chodzi o jakieś szczególne względy, tylko przydzielenie zadań, dzięki którym moja kariera nabierze tempa. Nie ma innej możliwości, bo na ręce będzie mi patrzył sam Stalin...

– To da się zrobić – zapewnił Poliakov. – Coś jeszcze?

– Tak. Macie tutaj jakąś ślicznotkę w typie lodowej księżniczki? Wiesz, taką, co to niespecjalnie interesuje się facetami.

– A co? Mało ci normalnych bab? Chcesz pobić jakiś rekord? Mamy, a jakże! – przyznał wreszcie, widząc, że nie doczeka się odpowiedzi.

Zachęciłem go gestem do rozwinięcia tematu.

– Rozumiem, że chodzi ci o te ładne, a nie takie, które udają niezainteresowane, bo i tak nikt nie rzuciłby na nie okiem dwa razy?

Potwierdziłem.

– No dobrze: jest kapitan Liza Wierchońska. Zajmuje się kradzieżami. Dwa lata temu straciła męża i od tej pory nie pozwala nikomu zbliżyć się do siebie. Nie żeby chłopaki nie próbowały, bo Liza jest warta grzechu, ale... – Wzruszył wymownie ramionami.

Skrzywiłem się niechętnie; z opisu Poliakowa wynikało, że dziewczucha jest po prostu wybredna albo jeszcze w żałobie po mężu. Nie takiej szukałem.

– Nie pasuje? – westchnął milicjant. – To może Nina Rusłanowa?

– Co za Nina?

– Śliczna bestyjka, ale ma specyficzne... upodobania – powiedział, z trudem powstrzymując uśmiech.

– To znaczy? – spytałem nieufnie.

– Cóż, lubi dominować. Wiesz: bicze, kajdanki i takie tam...

– Kola!

– Nie chciałbyś paru klapsów na goły tyłek? – zarechotał.

Pogroziłem mu pięścią.

– No dobrze – odparł z udaną powagą. – Nie to nie. Jest jeszcze Katia, ale...

– Tak?

– To beznadziejny przypadek, ona naprawdę nie lubi mężczyzn.

– A ma powody?

– Czort wie, nie jestem psychiatrą, takie fobie czasami bywają irracjonalne, choć równie dobrze mogą mieć związek z jakimś konkretnym zdarzeniem...

– Czym się zajmuje?

– Jest lekarzem sądowym. Niedawno zrobiła też specjalizację w zakresie zabezpieczania i badania śladów z miejsca przestępstwa. Powierzamy jej wszelkie trudniejsze sprawy.

– Jak się nazywa?

– Jekatierina Romanienko.

– Dzięki.

– I co, pasuje?

– Zobaczymy. A teraz co do roboty i szybkiego awansu...

– Cóż, jest pewna opcja, lecz uprzedzam, że ryzykowna. Mogę cię zrobić dzielnicowym na Arbacie.

– I gdzie tu ryzyko? Przecież to centrum Moskwy?

– Niby tak, ale od paru miesięcy mamy tam kłopoty: ludzie rezygnują ze służby albo giną.

– Jak to giną? Znikają?

– Nie, giną w dosłownym sensie. Pięciu milicjantów zastrzelono, ostatniego dzielnicowego znaleziono z poderżniętym gardłem. Dwóch innych poprosiło o przeniesienie, a jeden zaproponował operację typu wojskowego, w celu, jak się wyraził, „oczyszczenia rejonu”...

– Bandydzi?

– Bandydzi – przytaknął posępnie Poliakov.

– Myślałem, że trzymasz ich w ryzach?

Milicjant skrzywił się, jakby właśnie rozgryzł coś paskudnego.

– Trzymałem – poprawił sucho. – Teraz, po wojnie, wszystko się popieprzyło. W bandyckim światku trwa walka o władzę i nikt nie przestrzega ustalonych dawniej zasad.

– W Moskwie?

– Skąd! W całym kraju. *Błatni* nazywają to suczą wojną. Najpierw ogłoszono amnestię, w wyniku której wypuszczono na wolność tabuny drobnych i nie takich znowu drobnych przestępców, teraz z kolei zaostrożono przepisy dotyczące zaboru mienia państwowego: za drobną kradzież można dostać dwadzieścia lat! No i do więzień i na zony trafiły setki tysięcy złodziei, w tym także *błatni*, którzy w czasie wojny służyli w armii.

– I co z tego?

– Jakakolwiek współpraca z organami państwa to złamanie złodziejskiego kodeksu. Ktoś taki to już nie *wor*, nie *wor w zakonie*, tylko suka.

– Rozumiem, że byłym frontowcom nie za bardzo podoba się nazywanie ich sukami?

– Owszem, choć to najmniejszy problem. *Błatni*, którzy wojnę przesiedzieli w więzieniach, chcą karać suki za złamanie zasad i zabrać im posiadaną wcześniej władzę. Więc leje się krew...

– Ci moskiewscy to tradycjoniści czy suki?

– Czort ich wie! Mam nadzieję, że i to wyjaśnisz, bo moi informatorzy nabrali wody w usta. Jedno jest pewne: stare struktury już nie istnieją.

– Ile czasu mam na załatwienie sprawy?  
 – Tydzień, może dwa, nie więcej. Parę dni temu generał Szołkin otrzymał ultimatum: albo w Moskwie za panuje względny spokój, albo...  
 – Bezpieka?  
 – Gorzej. – Poliakov wymownym gestem wskazał w górę.

Znaczy Kreml... Jak i wszyscy mieszkańcy Moskwy wiedziałem, że generał-major Szołkin jest tylko figurantem, w rzeczywistości stolicą rządu pułkownik Poliakov. Przynajmniej tak to wyglądało do niedawna... Było oczywiste, że groźba skierowana jest pod adresem Poliakowa, a nie Szołkina. Dlaczego jednak sprawą interesował się sam towarzysz Stalin? Czyżby sytuacja w Moskwie wyglądała aż tak kiepsko? Cóż, pewnie i tego przyjdzie mi się dowiedzieć.

– Jakies wsparcie? – spytałem.  
 – Tylko to, co zastaniesz na miejscu – odparł Poliakov. – Jeśli dam ci swoich ludzi, tamci po prostu znikną na jakiś czas. A ty nie masz za nimi ganiać, tylko rozwiązać problem.

– Ograniczenia?  
 – Nie rozumiem? – zmarszczył brwi Poliakov.  
 – No wiesz, czy muszę to załatwić bez użycia siły albo w jakiś szczególny sposób?  
 – Popierdoliło cię?! Codziennie giną moi ludzie, a ty pytasz, czy możesz użyć siły?! Mam w dupie, co zrobisz z tymi bandziorami, postaraj się tylko ustalić ich personalia. Dowództwo lubi szczegółowe raporty, a i wypadaloby wiedzieć, co napisać takiemu na nagrobku. W końcu nie jesteśmy dzikusami...

– Rozumiem.

Widząc ponagląjący gest Poliakowa, odmeldowałem się pospiesznie. Nie było sensu tracić czasu, miałem zadanie do wykonania.



Nowiutka mosiężna tabliczka kontrastowała mocno z brudnymi, obdrapanymi drzwiami. Te ostatnie – podobnie jak i cały budynek komendy w Krzywoarbackim Zaułku – wyglądały, jakby nikt nie odnawiał ich od czasów ostatniego cara. Kto wie? Może tak i było.

Przyjrzałem się jeszcze raz napisowi „Podporucznik Razumowski. Dzielnicowy” i nacisnąłem klamkę. No tak, można się było tego spodziewać: połamane krzesła, kulawe biurko, warstwa kurzu gruba na centymetr. Ot i mój gabinet! Trzeba będzie coś z tym zrobić, tyle że nie dzisiaj, chwilowo miałem ważniejsze sprawy.

Wychodząc, niemal zderzyłem się ze starszym mężczyzną w granatowym mundurze. Trzy wąskie paski na pagonach oznaczały sierżanta.

– Towarzysz Razumowski? – zapytał, stając na baczność.

– We własnej osobie – mruknąłem.

– Melduje się sierżant Kasjanow – oznajmił i zasałutował.

Oddałem honory, obrzuciłem go taksującym spojrzeniem. Oto jeden z moich dwóch podwładnych, pięćdziesiąt procent wsparcia, na jakie mogę liczyć... Mężczyzna miał swoje lata, dałbym mu z sześćdziesiątkę, ale nie wyglądał na niedołęznego. Inna sprawa, że w poważnej



walce wielkiego pożytku z niego nie będzie – nie ten wiek.

– A gdzie szeregowy Bugrowski?

– Zapewne na zebraniu Komsomołu. Towarzysz Bugrowski jest jednym z aktywistów – dodał z lekkim, niemal niedostrzegalnym sarkazmem.

Świetnie! Znaczący przydzielono mi gówniarza komсомола, pewnie świeżo po szkole, i emeryta. To ci dopiero oddział szturmowy!

– Za mną! – rzuciłem lakonicznie.

Sierżant bez słowa wykonał polecenie. Widać negatywny, dobre i to.

– Znacie tu jakąś przyzwoitą knajpę? – spytałem, kiedy wyszliśmy na ulicę.

– Knajpę?

– Musimy gdzieś porozmawiać, a przecież nie w tym chlewie, który wyznaczono mi na gabinet – wyjaśniłem niecierpliwie.

Milicjant obrzucił mnie uważnym spojrzeniem szarych jak stal oczu, rysy wychudłej, pokrytej zmarszczkami twarzy wyostrzyły się, na chwilę odejmując mu lat.

– Znam. To niedaleko – zapewnił.

Ruszyłem za prowadzącym sierżantem. Korzystając z tego, że znalazłem się za jego plecami, analizowałem każdy gest starszego mężczyzny. Coś mi w nim nie pasowało: energiczny, rozkołysany krok, mimowolny ruch lewej ręki... Tak, nie ulegało wątpliwości, że trafił mi się niezwykajny podwładny. Kiedy zatrzymał się przez moment na rogu ulicy, nie zdołałem powstrzymać uśmie-

chu. No, teraz wszystko jasne. Ciekawe tylko, czy mój drugi podwładny, komsomolec, będzie równie nietuzinkową personą?

– Jesteśmy – oznajmił Kasjanow.

Knajpka była niemal niewidoczna: ot, pomieszczenie cztery na pięć metrów, mieszczące kilka niewielkich stolików. Szyld nad wejściem do lokalu pokryty był rdzawymi zaciekami, co dziwnie przypominało kamuflaż. Znam niezłe Arbat, lecz tę knajpę widziałem pierwszy raz w życiu. Prawda, że po wojnie nie miałem zbyt wiele czasu na spacer.

Kelnerka w wieku sierżanta pojawiła się znikąd, jak za skinieniem czarodziejskiej różdżki, postawiła na stole dwa kufle piwa i talerz z suszoną rybą. Zanim podniosłem wzrok, zniknęła.

– Częstujcie się – wymamrotał Kasjanow, unosząc kufel.

Łyknąłem ostrożnie, zakąsiłem. I piwo, i taranka były znakomite.

– Przedrewolucyjna jakość – powiedziałem z uznaniem.

– Przedrewolucyjna? – zmarszczył brwi milicjant.

Zauważyłem, że odstawił kufel, jego prawa dłoń znalazła się nagle w okolicy pasa, blisko kabury...

Roześmiałem się serdecznie: będę musiał go poznać z damami dworu ostatniej carycy.

– Esaul? – spytałem.

– Co takiego?!

– Pytałem o wasz stopień, wiecie, ten przedrewolucyjny – wyjaśniłem spokojnie.

– Skąd wam to przyszło do głowy?!  
 – Pomyślmy: chodźcie jak kawalerzysta, co jakiś czas wykonujecie gest, jakbyście chcieli podtrzymać szablę, no i zatrzymaliście się w miejscu, gdzie kiedyś stała cerkiew Mikołaja Cudotwórcy. Dawniej ludzie żegnali się, przechodząc obok... O ile pamiętam, zniszczono ją dopiero w latach trzydziestych.

Poblady Kasjanow wyglądał, jakby ujrzał ducha.

– Spokojnie, sierżancie – mruknąłem. – Nic mi do tego. A piwo i rybka przepyszne.

– Skąd wiecie, że byłem esaulem?

– Zgadywałem. – Wzruszyłem ramionami. – W czasie rewolucji mieliście około trzydziestu lat. Jesteście Kozakiem, to rzuca się w oczy, stąd moje przypuszczenie, że mogliście dojść do stopnia esaula.

– Ja... Wy nie zamierzacie chyba...

– Nie zamierzam – zapewniłem. – Ale chciałbym, żebyście mi pomogli zorientować się w sytuacji.

– Albo?

– To tylko prośba, nie jestem donosicielem – powiedziałem ostro. – A wy nie uważacie, że powinniście pomóc przełożonemu? I jak wasze wrażliwe, przedrewolucyjne sumienie jest w stanie dźwigać odpowiedzialność za śmierć moich poprzedników?

– Odpowiedzialność?! – wybuchnął Kasjanow. – Upredzałem tych idiotów, ale mnie nie słuchali!

– Upredźcie i mnie – zaproponowałem. – Ja was wysłucham.

– Co chcecie wiedzieć?

– Przede wszystkim ilu ludzi liczy ekipa, która rządzi teraz dzielnicą, i kto stoi na czele tej bandy?

– Osiem, może dziesięć osób. Miszka Czort – odparł zwięźle Kasjanow.

– Skąd ta ksywa?

– To straszny gnojek, nawet *blatni* go nie trawią. W normalnych warunkach nigdy nie stanąłby na czele własnej grupy, ale dzisiaj nie ma komu go zastopować, za duży bałagan.

– Rozumiem, że to nie jest nikt ważny?

– Zwyczajny urka, tyle że ponadprzeciętnie brutalny. Parę lat temu udowodniono mu przekręty finansowe i *schodniak* wyrzucił go z Moskwy. Dopiero niedawno odważył się wrócić, gdyby nie wojna wśród *worow*, byłby już trupem.

– Nie rozumiem.

– *Schodniak* to zebranie bandyckiej elity, coś w rodzaju rady i sądu w jednym. Rozstrzyga spory, rozwiązuje problemy... Za niepodporządkowanie się jego dyktynom jest tylko jedna kara: śmierć.

– Co za przekręty?

– Każdy bandyta musi wpłacać część zysków na wspólny fundusz, którym zarządza ciesząc się powszechnym autorytetem *wor w zakonie*. To pieniądze na adwokatów, paczki żywnościowe, łapówki... Miszka zataił część dochodów. Wtedy właśnie nadano mu przezwisko „Czort”, w żargonie *blatnych* to ktoś, kto nie przestrzega zasad.

Podziękowałem nieartykułowanym mruknięciem. Z tego, co mówił Kasjanow, wynikało, że nikt nie będzie płakał ani po Miszce, ani po jego ludziach. No i dobrze, nie uśmiechało mi się wchodzić w konflikt z *blatnymi*, wrogów i tak mi nie brakowało.

– Co chcecie zrobić? – spytał niespokojnie sierżant. – Z nimi nie można się dogadać, a we trzech nie damy rady całej bandzie.

– Gdzie ich można znaleźć?

– W „Literackiej”.

– Słucham?!

– W kawiarni „Literacka” – powtórzył cierpliwie.

Pokręciłem w zdumieniu głową, pamiętałem lokal sprzed wojny – elegancki wystrój, markizy, kryształowe pucharki, w których podawano lody...

– Rozumiem, że teraz nie zbiera się tam raczej elita intelektualna?

– Nie, tylko Czort i jego ludzie, czasem trafi się jakiś niezorientowany przechodzień – odparł posępnie Kasjanow. – Jeśli coś planujecie, może mógłbym...

– Pomóc? – dokończyłem z uśmiechem. – Nie, sierżancie, dziękuję za dobre chęci, ale dam sobie radę. Będę miał za to dla was inne polecenie.

– Tak?

– Znajdźcie mi jakiegoś *wora w zakonie*, kogoś, kto cieszy się autorytetem u *blatnych*.

– Tu, na Arbacie?

– Gdzieś w okolicy – przytaknąłem.

– To nic trudnego, choć wątpię, żeby ktoś taki chciał z wami rozmawiać. Z jakimkolwiek milicjantem – uściślił po namyśle.

– To już nie wasz problem – uciałem. – Wystarczą wam dwa dni?

– W zupełności.

– Dziękuję za poczęstunek – zakończyłem rozmowę, wstając od stolika.

Cóż, teraz trzeba tylko załatwić sprawę z Miszką. Nie żeby było czym się martwić: ot, jeszcze jeden obszczy-murek. Podejrzywałem, że problemy zaczną się, dopiero gdy odbiję dzielnicę.



Mżyło. Postawiłem kołnierz płaszcz, nasunąłem na czoło czapkę. Przez szklaną witrynę widać było, że od czasu, kiedy byłem tu po raz ostatni, w lokalu zaszły spore zmiany. Smętny barman serwował tylko wódkę, a przy stolikach zamiast elegancko ubranych kobiet i mężczyzn siedzieli *blatni*. Kilku przypadkowych klientów spoglądało na nich z mieszaniną strachu i fascynacji. Z kawiarnianego ogródka uprzątnięto wabiące klientów kolorowe markizy, chodnika przed lokalem nie zamiatano pewnie od wojny.

Niewielki, zamontowany przy drzwiach dzwoneczek oznajmił moje przybycie. Byłem w mundurze, więc natychmiast przyciągnąłem uwagę obecnych. Z reakcji otaczających Miszkę urków wywnioskowałem, że dawno nie widziano tu żadnego milicjanta. Mimo zaskoczenia *blatni* zareagowali bez chwili wahania – błyskawicznie zajęli pozycje pod ścianami, tworząc luźną formację w kształcie litery U. Zupełnym przypadkiem znalazłem się wewnątrz... Gdyby Miszka wydał rozkaz, aby mnie zabić, nie miałbym żadnych szans, zaatakowany z trzech stron. Cóż, nic nadzwyczajnego, choć taktyka wystarczająco skuteczna na jednego przeciwnika. Widać, że nie byli w wojsku, wówczas zajęliby po prostu punkty dominacji – miejsca, skąd można kontrolować całe

pomieszczenie. No i dobrze, dużo trudniej byłoby poradzić sobie z zawodowcami.

Podszedłem do Miszki i nie mówiąc słowa, nacisnąłem spust. Dwa strzały w pierś, kontrolny w głowę. Bandyta osunął się na podłogę z wyrazem komicznego wręcz osłupienia na twarzy. No bo jakże to tak? Żadnych pogroźek, żądań, poleceń? Tylko śmierć?

Wykorzystałem moment zaskoczenia, zastrzeliłem jeszcze dwóch kompanów Czorta, po czym zwinąłem się w błyskawicznym półobrocie, biorąc na cel kolejnego bandytę. Zbyt wolno: tamten mierzył już do mnie. Zniecka na jego czole, tuż powyżej nasady nosa, rozkwitła czerwona róża, rozległy się kolejne strzały. Sapnąłem gniewnie: kiedy to dziewczyszko przestanie się popisować? Gadaj takiej sto razy, a ona i tak robi wszystko po swojemu.

Tima Katuszew wyszedł zza swojego stolika i dobił ruszającego się jeszcze bandytę. Widać trafiła nam się wyjątkowo żywotna gadzina, bo facet dostał przecież swoje trzy kule. No nic, to po imprezie... Policzyłem trupy: siedem sztuk. Znaczący brakuje przynajmniej jednego.

– Nic wam nie jest, *komandir*? – upewniła się Elena.

– W porządku – odburknąłem. – A wy?

Dziewczyna obróciła się na pięcie niczym modelka, demonstrując, że jest cała i zdrowa, Katuszew uniósł w górę zakrwawioną rękę.

– Draśnięcie – zameldował bez emocji.

Cóż, od czasu postrzału w głowę porucznik Katuszew rzadko kiedy okazywał uczucia. Przywykłem. W sumie chłopak i tak miał szczęście: Wiera Turkuł i Pietka

Drozd spoczywają do dzisiaj w jakiejś bezimiennej mogile pod Aleksandrowką... Podszedłem do barmana, zamówiłem kolejkę dla wszystkich. Nie żebym musiał się wykosztować, pozostali przy życiu klienci opuścili lokal, wrzeszcząc z przerażenia.

– Kto jeszcze został z bandy Miszki Czorta? – spytałem.

– Nie wiem, o czym mówicie – odparł barman z twarzą białą jak papier.

– Tima? – poprosiłem znużonym głosem.

Chłopak jednym susem przeskoczył kontuar i wyczarował skądś paskudnie wyglądający nóż.

– Odpowiadaj – ponaglił łagodnie.

– Je... jeszcze dwóch – wymamrotał nieskładnie barman.

– Nazwiska?

– Nie znam, tylko ksywy.

– Tak?

– Bankier i Gracz.

– Gdzie ich można znaleźć?

– Nie wiem, ale dziewczyna Gracza pracuje w knajpie na Dworcu Białoruskim. Ja naprawdę nic więcej... – urwał, patrząc z przerażeniem na Katuszewa.

– Załatw to, Tima – poleciłem. – Jeszcze dzisiaj.

Chłopak posłusznie skinął głową.

– Będę wam jeszcze potrzebna, *komandir*? – spytała Elena.

– Nie, możesz wracać do swoich pędzli i gołych modeli – mruknąłem.

Dziewczyna parsknęła jak rozzłoszczona kotka, ale nie skomentowała: zdążyła się już przyzwyczaić do

docinków. Z jakichś względów niezmiernie mnie bawiło, że panna Szewieliewa studiuje w niedawno utworzonej Akademii Sztuk Pięknych.

– Dzwon na milicję – rozkazałem barmanowi. – I niech przyślą ze dwa, może trzy trupowozy, trzeba tu zrobić porządek...



Ucisnąłem dłoń kolejnego nieznanego milicjanta, odkład pojawiłem się na Pietrowce, musiałem witać się co kilka kroków. Cóż, tym razem nie byłem anonimowym funkcjonariuszem, po mieście rozeszły się wieści o likwidacji bandy Miszki Czorta.

Przed gabinetem Poliakowa dyżurował ten sam chudy kapitan. Mężczyzna bez słowa otworzył przede mną drzwi.

– Generał was oczekuje – oznajmił.

Ki czort? Co za generał? Czyżby na Pietrowce pojawił się Szołkin?

Postawny, wysoki oficer o regularnych rysach twarzy przypominających rzymskich imperatorów stał przy oknie, bawiąc się nerwowo przyciskiem do papieru. Złota gwiazda na pagonach oznaczała stopień komisarza milicji trzeciej rangi. Znaczą jednak Szołkin... Mimo że ranga generała-majora istniała tylko w armii, mało kto używał słowa „komisarz”. Za bardzo kojarzyło się z bezpieczeństwem. No chyba że chodziło o oficjalne okazje.

– Towarzyszu komisarzu trzeciej...

– Wystarczy, Razumowski. – Generał powstrzymał mnie gestem. – Przyszedłem specjalnie, żeby się z wami

zobaczyć i pogratulować udanej akcji. Jeszcze dzisiaj moja kancelaria przyśle do MUR-u dokumenty awansowe: otrzymacie stopień porucznika ze starszeństwem liczoną od dnia dzisiejszego.

– Do MUR-u? – powtórzyłem bezmyślnie.

– Tak – rzucił niecierpliwie Szołkin. – Zostaniecie oddelegowani do MUR-u. Detale wyjaśni wam pułkownik Poliakov. A teraz wybaczone, towarzysze, oczekuję mnie na zebraniu partii.

Poczekaj, aż za Szołkinem zamkną się drzwi, dopiero potem stanąłem w pozycji na „spocznij”.

– Co to wszystko ma znaczyć? – spytałem niepewnie. – Przecież jestem dzielnicowym.

– Siadaj! – burknął Poliakov. – Napij się?

– Czemu nie? Trochę się zdenerwowałem.

– Nie przejmuj się Szołkinem. – Poliakov sięgnął po butelkę wódki. – Nie będzie nam przeszkadzał. Wygląda jak marmurowy posąg i jest równie bystry...

– Przeszkadzał? W czym?

– W ułożeniu sytuacji.

– Masz na myśli Arbat?

– Mam na myśli Moskwę – doprecyzował. – Arbat to dopiero początek.

– Zwariowałeś?! Mam wystrzelać wszystkich bandziorów w stolicy?!

– Ciekawy pomysł. – Skrzywił usta w oszczędnym uśmiechu. – Jednak myślę, że nie będzie trzeba. Teraz, kiedy pokazałeś, co grozi gnojkom w rodzaju Miszki, *blatni* potraktują nas poważnie. Poprowadzisz negocjacje w moim imieniu.

– Chcesz odzyskać władzę nad miastem?

– To także – przyznał Poliakov. – Przed wszystkim jednak chcę zaprowadzić porządek w Moskwie. Zalewa nas fala przestępczości. Trzeba coś z tym zrobić.

– Myślisz, że układ z *blatnymi* załatwi ten problem?

– Nie, ale to dobry początek. Czy nam się to podoba czy nie, *blatni* stworzyli coś w rodzaju państwa w państwie.

– On z tym MUR-em na poważnie? Przecież mnie zabiją śmiechem...

*Moskowskij Ugołownyj Rozysk* skupiał najlepszych śledczych w kraju, o ich wyczynach krążyły legendy. Co prawda nie miałem specjalnych kompleksów, ale przyzwyczaiłem się do działania w specyficznych warunkach: moi... klienci nie mogli poskarżyć się na brutalne traktowanie. Czy dam sobie radę w czasie pokoju? Miałem w tej kwestii poważne wątpliwości.

– Poradzisz sobie – zapewnił Poliakov. – Na razie wejdiesz tu jako nadetatowy, bo potrzebuję cię i na Arbacie.

– Nadetatowy? – Skrzywiłem się niechętnie. – To znaczy, że przyjdzie mi zapychać dziury?

– Owszem, ale to ja będę decydował, do jakiej ekipy cię przydzielę. Wracając do rzeczy: umówiłeś się już z *blatnymi*?

– Sprawa jest w toku. Mój sierżant, niejaki Kasjanow, ma to załatwić.

– W porządku, tylko pamiętaj, że w przyszłym tygodniu będę musiał złożyć raport o postępach operacji. W razie jakichś problemów kontaktuj się bezpośrednio ze mną albo z jednym z moich zastępców. Oni zawsze wiedzą, gdzie mnie znaleźć.

Z wrodzoną bystrością zorientowałem się, że to koniec audiencji. Na korytarzu zatrzymał mnie chudy kapitan.

– Wasze kartki – powiedział, wręczając mi zalakowaną kopertę.

– Kartki?

– Do stołówki – wyjaśnił. – Przysługują wam jako pracownikowi MUR-u.

Podziękowałem i zszedłem na parter. Może rzeczywiście warto coś zjeść? Pora w zasadzie obiadowa... MUR słynął z dobrej kuchni.

Korzystając z umieszczonych na ścianach tabliczek, bez problemu dotarłem do stołówki. Najwyraźniej dopiero rozpoczynano wydawanie posiłków: ledwo połowa miejsc była zajęta. Podszedłem do okienka, stanąłem w kolejce. Odbierając tacę, wyczułem za plecami poruszenie, na sali zapanowała cisza przerywana tylko brzękiem sztućców. Widać jednak nie do wszystkich dotarły najnowsze plotki. Westchnąłem ciężko, niby milicja, niby elita, a zachowują się jak banda żuli. Nie żebym był zdziwiony, taka, kurwa, tradycja...

Drogę do stolika blokowało mi dwóch młodzieńców w mundurach poruczników. Zapewne zamierzali niby przypadkiem podstawić mi nogę albo przynajmniej wybić z rąk tacę. Ot, matolki!

Odłożyłem żarcie, w chwilę później byłem już przy dowcipnisiach. Jednego powaliłem krótkim, niesygnalizowanym ciosem w splot słoneczny, drugi zdążył się zamachnąć. Bez trudu przechwyciłem jego rękę, założyłem bolesną dźwignię na nadgarstek, po czym kopnięciem pod kolano posłałem chłopaka na podłogę.

– Ktoś jeszcze? – spytałem.

– Co to za zachowanie, podporuczniku?! – warknął otyły, łysawy major. – To niedopuszczalne! Przychodzi takie coś świeżo po kursach i wydaje mu się, że może tu urządzać bijatyki! Pieprzony szczur tyłowy!

Roześmiałem się autentycznie ubawiony – wyglądało na to, że Poliakov nikogo nie poinformował, kim naprawdę jestem. Biorąc pod uwagę mój wiek i niski stopień, miejscowi zapewne założyli, że jestem pociotkiem jakiegoś aparatczyka, wciśniętym po znajomości na kurs dla frontowców. Wniosek był logiczny: podejrzewałem, że niewiele osób wyrzekłoby się rangi pułkownika i przyszło na ochotnika pracować w milicji...

– Wydaje ci się to zabawne, gnoju?!

Purpurowy z wściekłości major zerwał się z miejsca z zacisniętymi pięściami, jednak zanim zdążył zrobić coś więcej, na drodze stanął mu inny oficer. Sylwetka tego ostatniego wydała mi się znajoma. Hmm... cztery gwiazdki na pagonach, znaczy kapitan. Tylko gdzie ja go spotkałem?

– Zejdź mi z drogi! – warknął łysy. – Ja go zaraz...

– Daj spokój! On nie jest...

Nie dokończył, odepchnięty przez grubasa.

– Dosyć!

Tym razem interweniowała ładna, na oko trzydziestoletnia szatynka.

– Jak dzieci! I wy, Borysie Iwanowiczu – odezwała się z wyrzutem do majora. – Jak tak można?

– Wybacz, Lizka, ale...

– Nie ma żadnego „ale”, dajecie zły przykład młodzieży – przerwała mu bezceremonialnie.

Skarcony major opuścił wzrok niczym złapany na psocie uczeń. Lizka? Czyżby to ta sama Liza Wierchońska, o której opowiadał wcześniej Poliakov? Przyjrzałem się kobiecie uważniej: włosy w kolorze jesiennego kasztana, ciemne oczy, zgrabna figura, wyraźnie zarysowane kości policzkowe, nadające jej z lekka egzotyczny wygląd. Rzeczywiście ślicznotka.

– A wy też moglibyście okazać nieco powściągliwości. – Tym razem wycelowała palec we mnie.

– Istotnie – przyznałem natychmiast. – Wybaczcie, towarzysze, moją... nadmiernie emocjonalną reakcję.

– I postarajcie się na przyszłość nie denerwować pułkownika Razumowskiego – poradził ironicznie kapitan, poprawiając mundur. – Bo inaczej nasza Katia będzie musiała przyjmować miejscowych... ekhmm... pacjentów.

– Pułkownika? – zmarszczyła brwi Wierchońska.

– Kiedy go ostatnio widziałem, był pułkownikiem *wojenno-jazdki*. Odznaczonym Złotą Gwiazdą – wyjaśnił kapitan.

– Safronow – mruknąłem.

Wreszcie go poznałem: był jednym ze śledczych prowadzących zajęcia dla kursantów Smiersza.

– Do waszych usług, sir – skłonił się z przesadną rewerencją milicjant.

– To co, pokój? – Wyciągnąłem dłoń do majora.

Ten uściśnął ją pod surowym spojrzeniem Wierchońskiej.

– Niech będzie – wymamrotał.

Zabrałem tacę i usiadłem przy wolnym stoliku. Zobaczymy, co my tu mamy: kapuśniak, gulasz z ziemniakami, sałatka z buraków, kompot. Niby nic nadzwyczajnego,

ale i nie najgorzej – cały kraj był wygłodzony, minie wiele czasu, zanim odbijemy sobie wojenne straty.

Skosztowałem zupy, okazała się znakomita. Nie na darmo chwalili kuchnię MUR-u.

– Mogę się przysiąść? – usłyszałem głos Wierchońskiej.

– Oczywiście. – Uprzejmie odsunąłem jej krzesło.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu, poświęciłem ten czas na obserwację towarzyszkę. Była ubrana po cywilnemu: sukienka, kaszmirowy sweterek, eleganckie buciki. Wszystko dobrej jakości, ale nic ostentacyjnie kosztownego. Zaczesała na bok włosy miała spięte srebrną spinką, otaczał ją dyskretny aromat perfum. Ciekawe: większość moich rodaczek używała pachnidła bez opamiętania. No i perfumy były zagraniczne.

– Jak lustracja, towarzyszu zwiadowco? – spytała, przerywając ciszę.

– Naprawdę chcecie wiedzieć?

– Naprawdę.

– Liczycie sobie trzydzieści, góra trzydzieści dwa lata, ważycie około sześćdziesięciu kilogramów. Pracujecie na ulicy, nie w gabinecie. Nie bierzecie łąpówek, ale macie dodatkowe źródło dochodów. Używacie perfum nieznałej mi marki. Ostatnio nadwierzycie sobie prawy nadgarstek – odparłem obojętnie.

– Macie dobre oko. Wiek i waga się zgadzają. Perfumy to Soir de Paris – poinformowała, wydymając usta. – Ale reszta...

– Buty na płaskim obcasie, można w nich biegać. Gdybyście tylko przekładali papierki, wybralibyście szpilki. Jesteście dostatnio ubrani, ale nie na tyle, żeby

świadczyło to o korupcji. Na waszym stanowisku mogliście dostać od *blatnych* dużo więcej.

– Może się maskuję? – spytała zaczepnie.

– Mało prawdopodobne. Co to za maskowanie, skoro na pierwszy rzut oka widać, że wydalicie na ubranie więcej, niż byłoby was stać z pensji?

– A nadgarstek?

– Używacie sztucców, wykonując ruchy z łokcia. To nienaturalne, robimy tak tylko wtedy, gdy boli nas nadgarstek.

– Zgadza się – mruknęła. – Dałam komuś w mordę. Jak się okazało, miał szczękę mocniejszą niż moja ręka.

– Nie powinniście bić pięścią – poradziłem. – To ryzykowne. Bywało, że nawet zawodowi bokserzy odnosili kontuzje w ulicznych bójkach. Lepiej uderzać podstawą dłoni.

– To znaczy jak? – Zmarszczyła brwi, wyraźnie zainteresowana.

– Trzeba silnie zgiąć dłoń w nadgarstku i teraz zadać cios, o tak – zademonstrowałem.

Wierchońska powtórzyła kilkakrotnie ruch.

– To skuteczne? – upewniła się.

– Bardzo. Jeśli chcemy kogoś nokautować, to bijemy pod kątem mniej więcej czterdziestu pięciu stopni, uderzenie skierowane w górę odrzuci głowę przeciwnika i złamie mu kręgosłup.

– Próbowaliście kiedyś tego, poruczniku? Tak, wiem o waszym awansie – dodała, widząc moje spojrzenie.

– Raz czy dwa.

– I z jakim skutkiem?

– Odpowiednim – odburknąłem niegrzecznie.



Też mi pytanie! Jeszcze trochę i dziewczucha zażyczy sobie, żebym jej opowiedział życiorys.

– Co z tym pułkownikiem? Przecież gdyby pozabawiono was stopnia, nie pracowalibyście tutaj?

– Nie pozbawiono.

– A konkretniej? Muszę wiedzieć, rozumiecie, wygrałam was na aukcji.

– Co takiego?!

– Brakuje kadr, więc od czasu do czasu przysyłają nam uzupełnienie. Szefowie poszczególnych wydziałów zgłaszają zapotrzebowanie i każdy stara się przekonać pułkownika Poliakowa, że to właśnie jemu najbardziej potrzeba wzmocnienia. Przypomina to licytację – wyjaśniła z uśmiechem.

– Było wielu chętnych?

– Niespecjalnie, większość uznała was za nic niewartego dupka...

– To skąd wasze zainteresowanie?

– Safronow szepnął mi, że warto. Wracając do sprawy...

Łyknąłem kompotu, wyglądało na to, że będę musiał udzielić wyjaśnień: jeśli przydzielono mnie do Wierchońskiej, dziewczucha będzie moim przełożonym.

– Zostałem czasowo oddelegowany do pracy w milicji – odparłem po namyśle. – Stopień pułkownika nadal mi przysługuje, mogę nosić mundur i wszystkie posiadane odznaczenia, ale tu, u was, jestem tylko porucznikiem.

– To prawda, że w pojedynkę zlikwidowaliście bandę Miszki Czorta?

– Nieprawda, nie w pojedynkę.

– Dziwne to wszystko – wymruczała Wierchońska. – Bo podobno macie pracować też jako dzielnicowy?

– Owszem – przyznałem. – Jednak nie sądzę, żeby zabrało mi to zbyt wiele czasu.

– No, po tym, co spotkało Miskę, wasz rejon będzie pewnie jednym z najspokojniejszych w Moskwie...

Znowu zajęliśmy się jedzeniem, ale widziałem, że Wierchońska co jakiś czas spogląda na mnie spod oka. Pewnie zastanawiała się, czy nie zostałem nasłany przez bezpiekę. Ta ostatnia, mimo że zmieniła nazwę, nadal opierała się na donosach i prowokacjach. Dobrze chociaż, że nie dowodził już nią nienawidzący mnie Beria.

– Sam poprosiłem o przeniesienie – poinformowałem. – Z przyczyn osobistych.

Wierchońska skinęła głową, ale nie skomentowała. Bo i o czym tu gadać? Deklaracje deklaracjami, a życie życiem. Mądra dziewczynka.

Kończąc posiłek, nie podejmowaliśmy już żadnych poważnych tematów. Moja przyszła szefowa zapoznawała mnie z miejscowymi ploteczkami, a ja odwzajemniłem się, opowiadając kilka starannie dobranych i nieco ocenionych wojennych przygód. Miałem nadzieję, że nasza współpraca jakoś się ułoży, byłem już za stary na lawirowanie w polityce i kolejne misje dla towarzysza Stalina. Nie sądziłem, aby praca w milicji – jakkolwiek trudna czy ryzykowna – choćby w przybliżeniu przypominała to, co robiłem w czasie wojny. Do czterdziestki jeszcze mi trochę brakuje, ale z pewnością przydałoby się zwolnić obroty.

